

opisano 27.11.31

II / 1238 / 2kw



Centrum Dokumentacji
Archiwum Wschodniego
ul. Krakowskie Przedmieście 25, pck 18
00-071 Warszawa

Konkurs - Kresy Wschodnie pod okupacją

Urodziłem się i wychowałem na Kresach Wschodnich i dlatego chętnie biorę udział w konkursie.

Po powrocie z kampanii wrześniowej 1939 r. do miejsca zamieszkania gmina Dziembrów powiat Szczuczyn województwo Nowogródzkie byli już sowieci. Sekretarz gminy Dziembrów przyjął mnie do pracy w gminie na stanowisko księgowego. Sekretarz był dobrym moim znajomym aktywnym człowiekiem należącym do partii, natomiast ja nie należałem do partii ale współpraca jakoś nam szła. Kapitalistów i obszarników ziemskich już nie było. Dziwiłem się bardzo, że Księżę Sapieha, u którego cała moja rodzina pracowała, nie zdążył uciec, miejscowa władza, a byli to Żydzi z miasteczka Skidla, aresztowała go i zabrała do rejonu Skidel. Posiadłość Księcia Sapiehy nie należała do rejonu Skidel, a należała do sąsiedniego rejonu Szczuczyn, ale władza rejonu Skidelskiego wyprzedziła rejon Szczuczyński, może dlatego, że był bogaty i było co zabierać. Jeżeli chodzi o innych dziedziców ziemskich, to sami opuścili swoje majątki ziemskie, uciekali, jak kto mógł.

Reforma rolna poszła szybko, tam gdzie były większe obszary ziemskie poszły pod sowchoz lub kołchoz, a te małe pozostały indywidualnymi gospodarstwami. Co było najgorsze, że kierownicze stanowiska tak w rejonach jak i w gminach obejmowali ludzie z głębi Białorusi, nawet w szkołach podstawowych kierownikami byli Rosjanie.

Z przykrością piszę, że kościoły i cerkwie od razu opodatkowali wysokimi podatkami, a to dlatego, żeby były niespłacalne i aby mieć podstawę do zabrania kościołów i cerkwi prawosławnych na magazyny gospodarcze. Pomimo tych wysokich podatków to parafianie wierni Bogu z wielkim trudem spłacali te podatki i utrzymywali kościoły. Władze miejscowe szantażowały tych księży skąd oni mają pieniądze na opłatę podatków kościelnych, ale wierni parafianie bronili księży wszelkimi siłami i udowodniali, że to oni spłacają podatki kościelne a nie ksiądz.

W mojej parafii Dziembrów przez cały czas Kościół był utrzymywany przez wiernych parafian, do których i ja należałem, chętnie brałem udział w spłacaniu podatków oczywiście w tajemnicy, bo inaczej nie mógłbym pracować w gminie jako księgowy.

W gminie, w której ja pracowałem, pracował milicjant, ale taki bożczelny człowiek, który stale psioczył na Boga. Wiedział o tym, że ja jestem wierzący, to specjalnie najwięcej psioczył wobecności mojej, wyzywał Boga od najgorszych słów i był zadowolony, że mu Bóg nic nie robi, bo Go nie ma, bo gdyby był, to ukarałby go za jego psioczenie. Nie długo to psioczenie trwało: pewnego pięknego poranka przybiegł jakiś człowiek i zameldował milicjantowi, że w lesie w odległości nie całe 2 km. kobieta i mężczyzna przy ognisku spożywają posiłek, muszą to być obcy ludzie. Milicjant wsiadł na wierzchowca i galopem popędził do tych ludzi. Po godzinie czasu koń powrócił do stajni sam, bez milicjanta. Pracownik, który obsługiwał konia, wsiadł na tego konia i pojechał szukać milicjanta, znalazł go ciężko rannego, zawiózł do szpitala. W czasie jazdy do szpitala i w szpitalu ryczał z bólu i przeproszał Boga za swoje psioczenie, pomimo swojej skruchy zmarł w szpitalu po dwóch dniach boleści. Jest to dowód-jak trwoga to wtedy do Boga.

Po pracy często spotykałem się z ludźmi, którzy bali się sowietów, byli to: gajowi i mali urzędnicy wiejscy. Oczekiwali z dnia na dzień, że ich wywiozą na Syberie. Pewnego dnia zauważyłem, że strach im minął, w rozmowie opowiadali mi, że byli wezwani do rejonu i obiecywali im dać pracę taką samą jak dotychczas mieli. Przy rejestracji złożyli swoje podpisy i już zadowoleni czekali na tę pracę. Nie długo czekali, w miesiącu lutym 1940 r., kiedy były największe mrozy NKWD tak szybko zorganizowało transport o północy, że do każdej rodziny gajowego i urzędnika podjechała furmanka chłopska i kazali ładować się na odjazd. Na załadowanie dali tylko 30 minut czasu. Jaka to była ogromna rozpacz całej rodziny niewinnej, płacz i jęk, krzyk, niejedna kobieta zemdląła, dzieci ryczały do ostatnich sił, a nkawudziści mieli twarde serca, mówiąc do krzyczących "Maskwa płaczu nie wierzy". Nikt sam na furmankę nie poszedł zostali siłą załadowani na furmankę chłopską i wywiezieni nocą na stację kolejową Rożanka i tam ich załadowali do wagonów towarowych na wyjazd na Daleki Wschód. Do stacji kolejowej było około 15 km., była wiadomość, że niektóre starsze kobiety i dzieci zmarły w drodze, zanim dojechały do stacji, bo były silne mrozy w tym czasie, a ubrania ciepłego nie mieli.

zom
Korad

Najgorzej chyba to jest, że niektórzy ludzie chętnie szli i idą na usługi okupantowi i wydają niewinnych ludzi okupantowi, jakby oni byli wrogami okupanta. Czym więcej takich ludzi wydał, tym miał większe szanse u okupanta. Na szczęście długo to nie trwało, bo w miesiącu czerwcu 1941r. wkroczyli Niemcy. W sąsiedniej gminie Kamionka, na skrzyżowaniu ulic, motocyklowy patrol niemiecki spotkał się z wojskową ciężarówką sowiecką i żołnierz sowiecki tak mocno rąbnął karabinem motocyklistę niemieckiego, że motocykl wywrócił się, a patrol poniósł śmierć, ciężarówka sowiecka odjechała w swoim kierunku.

Za jakiś czas wkroczyły wojska niemieckie, nie dużo ich tam było, może pluton, zabrali zabitych żołnierzy i zarządzili zbiórkę mieszkańców miasteczka Kamionka na placu miejskim. Mieszkańcy byli posłuszni, nie wiedzieli o co chodzi, szybko schodzili się, było ich około 200 osób. Niemcy okrążyli zebranych mieszkańców, ustawili w jednym skupisku i rozstrzelali karabinami maszynowymi, oświadczając że to jest rewanż za zabity patrol niemiecki.

Był to barbarzyński wyczyn wojsk niemieckich na niewinnej ludności cywilnej, bo co ludność jest winna, że żołnierz sowiecki zabił patrol niemiecki, przecież to była wojna.

Pod okupacją niemiecką pracowałem jako drwal w lesie, była to praca w lesie bardzo niebezpieczna, bo partyzantów było więcej niż Niemców. Gdyby nie ta barbarzyńska rewanż za jednego Niemca - rozstrzeliwano setki niewinnych ludzi - to partyzanci wybiliby wszystkich Niemców.

Dla dowodu podaję prawdziwe wydarzenie dobrze mi znane: przy stacji kolejowej Skidel /dwa przystanki do Grodna/ była wieś o nazwie Puzewicze, dość zamożna w porównaniu do innych wsi, liczyła mniej więcej 50 gospodarstw. Pewnego dnia na tej stacji Skidel wyleciał w powietrze wojskowy transport kolejowy z zaopatrzeniem bojowym. Natychmiast Gestapo otoczyło całą wieś, a było to zimą, posłuszną ludność spędziło do stodoły, zamknęli i ze wszystkich stron wsi podpalili budynki. Budynki były drewniane, więc szybko spłonęły z ogniem. Jakie to było niespotykane barbarzyństwo niemieckie, żywcem palić ludzi i dzieci i nie tylko ludzi, ale i zwierzęta domowe, krowy, konie, świnie i inne zwierzęta, co to w zimie ludzie byli w domach, a zwierzęta w zagrodach domowych. A ludzie, którzy nie poszli do stodoły i uciekli ze wsi zostali zabici przez otaczające wojska, które specjalnie były do tego przygotowane.

Po zakończeniu tej barbarzyńskiej masakry okazało się się, że wojskowy transport kolejowy wysadzili partyzanci, a więc co winna temu ludność. Wiem dobrze, że w taki barbarzyński sposób Niemcy spalili sześć wsi /obecnie województwo Grodzieńskie/, to były odwety za Niemców x na niewinnej ludności pod okupacją niemiecką. Niedaleko od mojej pracy przy skrzyżowaniu dróg stał postarunek niemiecki. Pewnego dnia dowiedziałem się, że partyzanci w nocy napadli na ten postarunek niemiecki, pozabijali wszystkich Niemców zabierając uzbrojenie, ubrania i buty, zostawili Niemców nagich. Po pewnym czasie zaczęły się masowe aresztowania niewinnej ludności, ja również zostałem aresztowany i osadzony w więzieniu politycznym w Grodnie. Było nas w jednoosobowej celi 5-ciu aresztowanych, bo nie było miejsca, tak było dużo aresztowanych. Na pierwsze spotkanie pod pretekstem współpracy z partyzantami tak mnie skatowali, że nie pamiętam, na czym skończyło się, przytomność odzyskałem w celi i to z wielkim bólem, było to dla mnie pierwszy raz w życiu. Siedziałem w więzieniu nie całe trzy miesiące. Na śniadanie dawali pajdkę chleba /10 dkg/ i kwaterkę czarnej kawy /może pół litra/, na obiad półlitra zupy na kopytach końskich lub krowich, ale w zupach tych nie znalazłem ani jednego ziarnka kaszy lub kartofla, na kolację też taka sama zupa. Jak wyszedłem z więzienia pozostała na mnie skóra i kości, mięśni nie było. Po przybyciu do domu dowiedziałem się od brata, że zaraz po aresztowaniu mnie, udał się do nadleśniczego, był to Polak, u którego pracowałem, z prośbą o ratowanie mnie. Nadleśniczy znał mnie od dawna, bo pracowałem pod jego kierownictwem przed wojną i w czasie okupacji. Wystawił mi jak najlepszą opinię w języku niemieckim /kończył studia w Wiedniu/, z tą opinią brat udał się do dwóch księży z mojej parafii, którzy również poręczyli za mnie, że nie był komunistą i nie współpracowałem z partyzantką. Wspomnieli nawet i to, że w czasie sowietów pomagałem spłacać podatek kościelny. Z tymi opiniami brat udał się do komendanta więzienia w Grodnie, gdzie po przesłuchaniu go i zabraniu tych opinii, brata zwolnili. Myślę, że dlatego mnie już nie katowali i nie przesłuchiwali, bo już mieli moją opinię wydaną przez kompetentnych ludzi. Dzięki ludziom dobrej woli zostałem uratowany od śmierci, której nie zapomnę nigdy.

Niektórzy partyzanci też byli barbarzyńcami, a oto prawdziwe wydarzenie, nie daleko miasteczka Kamionka, o której napisałem na początku, na kolonii mieszkało dwóch leśniczych, Polaków, oczywiście przy lesie. Pewnego dnia gospodarz z Kamionki rano jechał do lasu i przy tym domku zobaczył leżącą kobietę wołającą o ratunek, była nieprzytomna, zabrał ją na sanie / była to zima/ i zawiózł do szpitala w Kamionce. Po uzyskaniu przytomności powiedziała: " Mój zięć i córka oraz drugi leśniczy z rodziną urządzili świąteczną uroczystość, zaprosili gości, było ich wszystkich z dziećmi 12 osób. O północy przyszli partyzanci i tak po kolei przychodzili wypić i zjeść, bo odrazu nie było dla wszystkich miejsca w małym domku. Między innymi zobaczyłam znajomego partyzanta i z wielkiej radości objęłam go i ucałowałam, mówiąc matka jego martwi się o niego, bo jest moją przyjaciółką, powiem twojej mamie, że ty żyjesz. Partyzanci wyszli i byliśmy spokojni ale nagle wpadli wszyscy razem i nas wszystkich pozabijali nożami nie zważając na krzyki i jęk z bólu. Nie wiem, jak się kończyło, bo byłam nieprzytomna, kiedy odzyskałam życie, zobaczyłam wszystkich leżących trupami i wypełzłam z mieszkania wołając o ratunek. Dwanaście osób zginęło śmiercią barbarzyńską".

W niedalekiej wsi Spusza liczącej 300 osób, bo należała do tej gminy w której pracowałem, trzech mieszkańców ukrywało się przed Niemcami, ponieważ bali się śmierci. Byłoby wszystko dobrze, gdyby nie miejscowi szpiedzy, którzy zrobili z nich partyzantów. Gestapo dwa razy dawało mieszkańcom ultimatum i za trzecim razem mieli spalić całą wieś, tak jak to zrobili z innymi wsiami, które zostały spalone żywcem. Ukrywający się trzej mieszkańcy zrozumieli to, że po co za nich trzech ma ginąć cała wieś-300 osób, w tym ich rodziny, postanowili sami iść do Gestapo, aby uratować wieś. Poszli sami do Gestapo w mieście Skidel, tam ich przytrzymali, przesłuchali i wypuścili wszystkich trzech. Dwóch starszych poszło na swoje gospodarstwo, natomiast najmłodszego zatrudnili na stanowisku gajowego, ale mieszkał on w swojej wsi. Pewnego poranka robotnicy, którzy pracowali pod jego kierownictwem, przybiegli do mojej miejscowości z alarmem, że partyzanci go zabili. Prosił i błagał, że jest niewinny, by mu darowali życie, ale nic nie pomogło zabili go za to, że poszedł do Niemców. A tych dwóch pozostałych dowiedziawszy się o tym zabójstwie zaczęli się ukrywać przed partyzantami i tak uratowali się przed śmiercią. Wiosną

V [1944 r. ponownie przyszli sowieci i od razu zaczęli mobilizować tutejszą ludność do wojska.

Polacy nie chcieli iść do wojska sowieckiego, ja również nie chciałem iść do wojska sowieckiego. Zaczęłem starać się do wojska polskiego, bo już było wiadomo o Wojsku Polskim w Związku Radzieckim. Jako księgowy gminy rozmawiałem o tym z sekretarzem i wójtem gminy, żeby dostać się do wojska polskiego, bo mam przeszkolenie - odbyłem czynną służbę wojskową. Wójt i sekretarz zgodzili się ze mną, że lepsza będzie korzyść służyć w wojsku, w którym mam przeszkolenie, tym bardziej że wojsko polskie jest pod dowództwem sowieckim.

Pewnego dnia wpada rano do mieszkania milicjant, który pracował w tej samej gminie, był pijany i wściekły, zaczął po pijanemu robić rewizję w mieszkaniu - szukał broni. Wszystko poprzewracał jęcząc "dawaj broń, bo zastrzelę, gdzie schowałeś broń". Posadził mnie w mieszkaniu na taborku przed figurką Matki Boskiej, która stała na półce na ścianie frontowej, a obok niej wisiały dwa obrazy religijne. Po pijanemu psioczył, rugał Pana Boga, Matkę Boską no i mnie. Repetował karabin automatyczny produkcji niemieckiej, celował we mnie krzyżąc "dawaj broń bo zastrzelę, nie obroni ciebie Matka Boska" i tak mnie męczył z pół godziny, nie dał mi nic powiedzieć, celując we mnie i pociągając spust karabinu. W domu był tylko ojciec staruszek, lat 80, bardzo przejmował się barbarzyńskim wyczynem milicjanata. Nie wiem, na czym kończyłoby się, czy zabiłby mnie, czy nie, ale Matka Boska pomogła, bo do mieszkania wpadła sąsiadka, jak zobaczyła, że milicjant celuje we mnie przed Matką Boską i obrazami religijnymi, narobiła przeraźliwego krzyku wybiegając z mieszkania wołając o ratunek, że milicjant zabije mnie. Na ten krzyk było pełne mieszkanie sąsiadów. Śmieli sąsiedzi rozbili milicjanta, ale rozsądni sąsiedzi zdecydowali oddać mu broń i wypędzić z mieszkania, niech jedzie do gminy, bo inaczej może sprowadzić na nas nieszczęście - przecież jest pracownikiem NKWD, a z nimi nie ma żartów. Ja podziękowałem sąsiadom za ocalenie od śmierci, bo mógłby mnie po pijanemu zabić. Powiedziałem ojcu i sąsiadom, że idę do gminy, a z gminy do rejonu i już do domu nie wracam, będą się starać do wojska polskiego, a jak nie da się pójść do wojska polskiego, pójdę do sowieckiego, bo mama dość barbarzyńskich wyczynów, jakie mnie spodkały. Przecież wiedzieli o tym moi przełożeni - wójt i sekretarz gminy, co się stało z milicjantem, że on takie wyrządził bezprawie i barbarzyństwo.

W gminie opowiedziałem o tym wydarzeniu z milicjantem w moim mieszkaniu, że posadził mnie przed figurką Matki Boskiej celując we mnie z automatu, żądając bym oddał broń, bo inaczej zastrzeli, a skąd miałem oddać broń, skoro jej nie miałem. Wójt i sekretarz powiedzieli, że to jest głupi człowiek, upił się i jeszcze gorzej zgłupiał i narobił świństwa i lepiej z nim nie zaczynać, bo to jest pracownik NKWD. Poradzili mi, aby iść do rejonu do starosty, to jest dobry znajomy i poprosić go, żeby dopomógł mi dostać się do wojska polskiego i tak zrobiłem. Starosta był moim dobrym znajomym, bo w latach 1939-1940 był moim bezpośrednim przełożonym w rejonie, pełnił funkcję inspektora kontroli finansowo-księgowej i często mnie kontrolował w gminie. Był człowiekiem za ZSRR, ale był dobry.)

(Nie mówiłem mu o wydarzeniu w domu, bo wiedziałem, że bliższe mu jest NKWD niż ja. Prosiłem go bardzo o pomoc, abym mógł pójść do wojska polskiego, bo mam już przeszkolenie wojskowe, odbyłem dwuletnią służbę wojskową, jestem żołnierzem przeszkolonym i większe pożytki będę mógł dać wojsku polskiemu, niż sowieckiemu, bo nie mam przeszkolenia w wojsku sowieckim, a wiadomo przecież że wojsko polskie jest pod dowództwem sowieckim. Starosta wysłuchał mnie i powiedział dobrze, przenocuj tu, a jutro rano pójdziemy do komisarza wojskowego i pojedziesz do wojska polskiego. Zapytał się mnie, gdzie będę nocował, podałem mu adres, gdzie miałem nocować i na tym rozeszliśmy się. Nie zdążyłem jeszcze usnąć, a o północy przyszli NKWD i mnie aresztowali. Zapędzili mnie do stodoły, a w tej stodole było już około 50 osób takich jak ja. Trzymali nas około 2 tygodni i co gorsza nie dawali jeść, ale dzięki ludziom dobrej woli-przeważnie kobiety przynosiły nam suchary, kartofle pieczone i rzucali nam z daleka, bo blisko podejść nie wolno było, wartownicy nie pozwalali. W ten sposób uratowali nas od głodu. Pewnego dnia zrobili nam zbiórkę na placu miasta, a było nas około 1000 osób, postawili w szeregu dali rozkaz, kto wyjdzie z szeregu będzie zastrzelony i tak nas popędzili na stację kolejową Różanka, gdzie załadowali do wagonów towarowych, zamknęli i powieźli do miasta Lidy do koszar 77 pułku piechoty. W Lidzie trzymali nas parę tygodni, jeść nie dawali i również dzięki kobietom dobrej woli zostaliśmy uratowani od głodu, przynosili nam kartofle pieczone i suchary z chleba.

Z miasta Lidy powieźli nas najpierw na Białoruś, a później do Polski. Zostaliśmy umundurowani w polskie drelichowe mundury w mieście Białymstoku i od tej pory zaczęła się moja służba wojskowa w Ludowym Wojsku Polskim.

Nie sposób wszystkiego opisać, ale co najgorsze, że niektórzy z miejscowej ludności tak chętnie szli na współpracę z okupantem, mam na myśli miejscową milicję sowiecką, która spieszyła do rabunku bogatszych gospodarzy i inteligencji polskiej. Nie brakowało chętnych do żandarmerji niemieckiej /policja/, którzy również rabowali bogatszych mieszkańców. Nie opuścili i mnie, chociaż nie byłem bogaty, miałem tylko rower, lepsze buty i kożuszek, przyszedł do mnie znajomy miejscowy policjant niemiecki i powiedział mi, że gestapo przysłało go, żeby zabrał rower, buty i kożuszek, bo policjantom jest to potrzebne, no i zabrał. Spróbuj nie oddać - to można było życiem przepłacić, takie było prawo okupanta. Takich przykładów było na porządku dziennym, wszystko zabierali, co im spodobało się, i dlatego chętnie szli na usługi okupantowi. Nie brakowało również tak zwanych partyzantów, którzy udawali się w rejony, gdzie ich nie znają i rabowali, co się tylko dało. Miejscowa ludność cywilna nie miała na to żadnej obrony. Miejscowe władze takimi sprawami nie zajmowały się, tak pod okupacją sowiecką jak i niemiecką. Po drugie, że ci wszyscy posłuszni sługusy okupantów mieli większą opiekę od okupantów niż ludność miejscowa.

Adolf Bekisz
ul. 29-ego Listopada 3 m. 45
00-465 Warszawa
tel. 41-25-93

Warszawa, dnia 24 listopada 1991r

Adolf Bekisz